

# APPENDYKS I

---

---

Oto nostalgiczna garść moich młodzieńczych wierszy:

# WIERSZE

## **pory roku**

Słońce śmieje się ufnie jak dziecko  
i cichymi promieniami  
miętko obejmuje chłodne ciało ziemi  
Po niebie tańczy srebrny wiatr  
a z oczu obłoków  
tryskają łzy jasnego deszczu  
Ziemia drży w oczekiwaniu  
Błękitny hymn ptaków  
wieści czas powrotu życia

Chmury dziewczęta ręce i ciche  
biegną bezszelestnie  
po czarnej murawie nieba  
Starcza twarz księżycą  
pokryta zmarszczkami czasu  
bładym uśmiechem wybiega im naprzeciw  
Cisza  
W wielkich oczach nocy  
czuwa miłość

Śpiew strumienia ginie w szumie lasu  
a gorycz jarzębiny wybuchą czerwienią  
pośród żółtych liści  
Pod granatowym dachem nieba drogami  
tajemniczymi  
płyną zadumane karawany obłoków  
ciężkich miodowym blaskiem słońca  
Umilkł szept wiatru  
W mgłach wieczornych  
płonie modlitwa dokonania

Dał niebosiężna  
skuta w przezroczysty kryształ ciszy

skrzy się w słońcu jak wielka łąka  
Białopalca ręka mrozu  
lodowym rylcem  
rzeźbi kwiaty na oczach domów  
Zastygł wiatr  
W kamiennym śnie zimy  
kiełkuje ziarno światła

*Warszawa, sierpień 1953*

\* \* \* \* \*

## **słonecznemu przyjacielowi Januszowi Rydlowi**

Kiedy idziesz ku mnie łąką  
zdajesz się płynąć w srebrnej łodzi wiatru

Kiedy toniesz w szafirowej trawie  
jesteś jak bożek zrodzony ze słońca

Kiedy gram na strunach twych włosów  
tchnie z nich złoty zapach miodu

Kiedy całują cię  
usta nasze drżą  
a w twoich oczach lśni czarny żar

Zagubiony w tobie  
wiem że miłość moja jest jak twe imię  
radosna i soczysta wonną zielenią jabłek

*Biała Podlaska, sierpień 1954*

\* \* \* \* \*

**wspomnienie**  
*Romkowi Faratowi*

W smartychwstałym wspomnieniu życia  
minionego  
złota łódź księżycy płynie bezszelestnie  
po cichej tafli sierpniowego nieba

Ogrody posępne odwiecznym marzeniem  
jak ptaki drżą w kruchej sieci promieni  
niewidzialnych  
posągi istot bajecznych zakrzepłe łzy  
przeszłości  
bieleją wśród drzew zasianych ręką zmarłych

Kolumny ganku idą gdzieś długim szeregami  
jak wojsko zaczarowane różdżką  
zapomnienia  
skrzypcowa kołysanka świerszczy i drżący  
szept liści  
otulają ciało nocy snu welonem srebrnym

Stoisz ukryty w zielonym cieniu wierzby  
zanurzony w kaskadzie wiotkich gałęzi

W oczach twych pełga czarny ogień  
uśmiechu  
i zdradza mi tajemnicę rozstania

*Warszawa, wrzesień 1954*

\* \* \* \* \*

**el desdichado**

Ja drzewo ja człowiek mnie nikt ulżyć  
nie może  
Ja krzyk agonii posępny spazm ostatni ciała  
starczego co żywe drży w trumnie szarej  
korze  
z mych żył nienawiść płynie rozpalona biała

Wśród szumu traw poczęty  
narodzony z burzy

ciszę gór piłem sok ziemi zielony i parny  
świat srebrnych deszczów łkaniem  
krewią jesiennej róży  
opłakałem i wpląnałem  
jak w sen zły koszmarny

w pieśń śmierci białą którą ślę ci śpiewem  
de profundis zwycięski dziedzicu mych włości  
byś wspomniał czasem  
nowy płomienny człowieku

czerń i błękit śmierć rozpacz mego wieku  
tak jak ja go wspominam z tęsknotą  
i gniewem  
ja com padł z własnej ręki ręki mej podłości

*Warszawa, grudzień 1954*

\* \* \* \* \*

**melancholia**  
*Mikołajowi*  
*Bieszczadowskiemu*

I patrzmy razem przyjacielu  
ku mej przeszłości obróć oczy  
wraz ze mną otul spojrzzeniami  
jej zły i sielski czas zarazem  
właśnie przed chwilą wynurzony  
z fal jasno szarych sennych  
cichego morza zapomnienia  
i ukazany nam

Ona ma przeszłość w blasku słońca  
jak w mej pamięci leży bryła  
wykutą dziwnie rylcem wspomnień  
W niej jak w kryształach czarownicy  
skrzą się widziadła dni minionych  
Patrz Oto niebieski i różowy  
pokój dzieciństwa mego  
owiany smutkiem  
otoczony  
tonów srebrnymi pierścieniami  
tonów i słodkich i nieznanych  
A oto już młodości promień  
rozchyła kielichy złotych kwiatów  
kwiatów przyjaciół ukochanych

dziewcząt przychylnych mi zbyt dumnych  
 tych wszystkich którzy nieświadomie  
 tkali kobierzec wielobarwny  
 młodości mojej  
 Stają przede mną zmartwychwstałe  
 wiotkie poranki  
 południa ognie wybuchają  
 wieczory rdzawo fioletowe  
 drżące tęsknotą  
 nad dachami  
 miasta mojego pochylone  
 dzisiaj raz jeszcze przepływają  
 przez serce moje  
 tak jak ongiś  
 by znowu zniknąć  
 w świetle księżycy  
 srebrnymi łzami płaczącego  
 nad nocnym grobem cichej ziemi  
 w świetle zastygłym świetle bladym  
 jak tarcze  
 posągów rozrzuconych  
 w ogrodach które zasnęły przed wiekami  
 Zapadła w letarg przeszłość moja  
 nawet wspomnienia dać jej mogą  
 tylko cień życia  
 tylko życie cienia  
 Lecz skieruj miły przyjacielu  
 spojrzenie swe  
 ku horyzontom  
 przyszłości tajemniczej  
 jak uśmiech nocy rozgwieżdżony  
 Nie my schodzimy w dolinę starości  
 lecz ona  
 ta ziemia milczenia  
 droga do zamku istot niewidzialnych  
 toczy się ku nam  
 jak ręką losu kula w ruch puszczona  
 kula co najpierw błyszczą wiruje szaleńczo  
 gdzieś w zamglonej dali  
 jak świetlik złoty  
 nocą nad bagnami  
 potem się zbliża  
 rośnie ogromnie  
 aby na koniec porwać nas  
 w sen nieodgadniony  
 pochłonać na zawsze i spalić w uścisku  
 czarnym ogniem śmierci

O przyjacielu  
 druhu chwil szczęśliwych  
 śpiew których drży jeszcze  
 jak most kryształowy  
 co łączy myśli nasze  
 tak bliskie choć inne  
 Gdy widzisz czas zmarły  
 i liczysz godziny jeszcze nie zrodzone  
 z losu nieznanego  
 wiedz o przyjacielu  
 nie ból i nie radość  
 ale jak mgła cichy smutek przemijania  
 tka nieutrudzenie przędzę mego życia  
 Spójrz zadumany przyjacielu  
 na obraz wizję mistrza  
 sprzed pół tysiąca lat  
 W pomarańczowym blasku słońca  
 miotającego  
 tęczy bumerang siedmiobarwny  
 znak przymierza  
 nad morzem parnym fioletowym  
 jak krew zakrzepła i wyschnięta  
 obok kryształu naszych wspomnień  
 i przyszłych losów złotej kuli  
 wspina się smukła jak ton fletu  
 drabina czasu życia droga  
 wiodąca z łona matki ziemi  
 ku Światłu Niewyraźalnemu  
 w świątyni nieśmiertelnych prog  
 W wizji Dürera skamieniałej  
 przez ludzkie oko niewidzialny  
 Słoneczny Bóg odwieczna młodość  
 na szalach wagi miłosierdzia  
 waży zasługi i przewiny  
 synów i córek adamowych  
 i ziemskiego swego namiestnika  
 cyrklem bezwzględny nieomylny  
 odmierza linie dróg czwowiecznych  
 linie zawile kamieniste  
 lub rozśpiewane jak potok górski kryształowe  
 A on skrzydlaty melancholii anioł  
 kwiat biały z ogrodu naszych marzeń  
 pochyla czoło zadumane  
 w zmiernych zamglonym  
 śniąc bezpowrotne życia sny

*Warszawa, październik 1954*

\* \* \* \* \*

## wakacje w małym miasteczku

Palce słońca stukały rankiem w okiennicę  
budząc nas z ciężkiego gorącego snu  
Śpiew much mieszał się z rykiem bydła  
W ogródku pod domem kwitły  
malwy goździki  
i wychylały się ku nam z talerzy klombów  
jak wonne potrawy  
Drzewa ścierały z czoł nocny pot rosę  
a wiatr naciągał skórę z chmur  
na jasny grzbiet nieba  
Do południa leżeliśmy nad małą  
brudną rzeką  
grając w karty i klnąc od niechcenia  
Nasze ciała oddychały  
pomarańczowym ciepłem łąki  
rzeka liczyła godziny przepływem fal  
szumiała trawa grały ptaki  
Młodzi chłopcy nasi przygodni przyjaciele  
istoty pół ludzkie brunatne polne fauny  
śmiali się i kłócili naprzemian ukryci za  
murem swych lat  
Wracaliśmy do domu w południe  
by zjeść prosty obiad  
i pójść do sadu na kwaśne żywe wiśnie  
młode jabłka i czarny mak  
O zmierzchu pod rękę z ciemną mgłą  
spacerowaliśmy po miasteczku  
Rzadkie latarnie nie rozpraszały nudy  
która płynęła wraz z krwią do serc  
Chroniąc się przed wieczornym chłodem  
odgrzebywaliśmy żar minionych miłości  
Młodzi chłopcy nasi nowi przyjaciele  
których dłonie spoczywały  
w naszych dłoniach  
a serca biły przy naszych sercach  
wracali do swych domów podobni ptakom  
śpieszącym do ciepłych gniazd  
wracali senni i smutni  
I my odchodziliśmy smutni  
myśląc o ich jasnych głowach  
wokół których nie krążyła  
ni wiara ni nadzieja ni miłość

Urzeczeni światłem ich młodości  
w dwójnasób czuliśmy ciężar ciszy  
która jak piasek przysypywała  
te delikatne drzewka  
Stanąwszy przed domem patrzyliśmy  
jeszcze długo, w noc  
w jej bezgwiezdnej dłoni spało miasteczko  
i jego serca  
spało snem bez marzeń  
nieskończonym snem  
nie tęskniąc do przebudzenia

*Biała Podlaska, sierpień 1955*

\* \* \* \* \*

## gasnące światło

*Romkowi Witkowskiemu*

Ciało twe chłopcze jest jak złoty płomień  
co niby drzewo tryska z nóg korzeni  
w oddechu piersi pnie się w górę  
aby zakwitnąć włosów czarnym kwiatem  
aby doskoczyć do gardła życia  
dłońmi twoich oczu  
Jesteś małańką kropłą śmiechu  
zawisłą w czasie spienionym  
nektarze dziejów  
obłoki światła przelatują ponad ramionami  
które wyciągasz przed światem do serc swoich  
serca skowronka białego i serca  
co szumi pożarem  
Kiedy rodziłeś się wśród ludzi  
gdzieś na niebie zabłysła srebrna gwiazda  
jak lampa zapalona wzrokiem światła  
a dziś ów boski ogień gaśnie zwolna  
nad głową twoją zmierzch przechodzi  
w noc ślepa i nieskończoną

*Biała Podlaska, sierpień 1955*

\* \* \* \* \*